

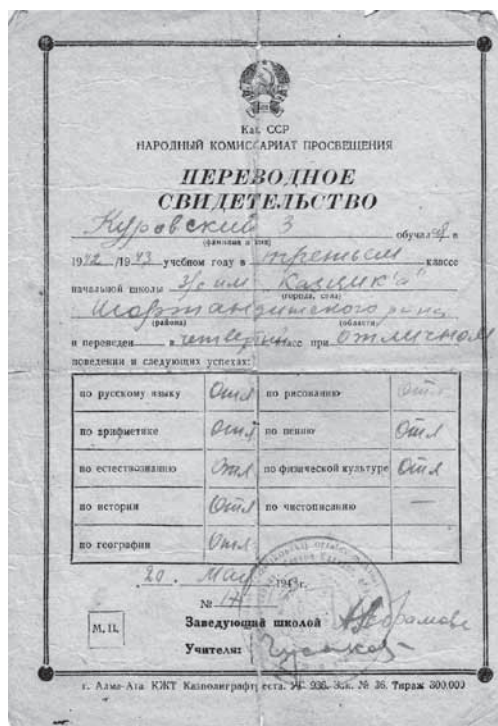
## Wspomnienia z dzieciństwa (cz. 4)

### Życie na zesłaniu w Kazachstanie

Przez jakiś czas mieszkaliśmy w aule kazachskim, który znajdował się po zachodniej stronie sowchozu, pod lasem. Składał się z siedzib budowlanych z krowiego łajna, które mieszano z gliną. Z tego wypiekano na słońcu rodzaj cegieł. Lepianki konstruowano w taki sposób, aby gdy przyjdą śniegi można było z nich wyjść. Mogły się zatem otwierać tylko do wewnątrz, nie na zewnątrz. Większość z nich miała rodzaj ganeczku, żeby można się było powoli ze śniegu wykopywać. Na szczycie lepierek leżały szkielety jurty kazachskich. Kiedy Kazachowie jeździli na wypas owiec w stepie, to zabierali ze sobą jurty. Zamieszkaliśmy u gospodarza imieniem Kindżibaj. Był to stary, typowy Kazach z bródką. Jak wszyscy Kazachowie, bardzo sobie cenili herbatę. W owym czasie jedyną osiągalną herbatą był tak zwany *kirpicznyj czaj*, czyli herbata zmielona i sprasowywana w cegiełki (*kirpicz* to po rosyjsku „cegła”). Kindżibaj nastawiał samowar. W nim podgrzewała się woda, herbata parzyła się. On siedział przy okrągłym stole tuż przy ziemi i zaczynał sobie z tego samowara nalewać. Niezależnie od tego, czy to było lato, czy zima, wewnątrz lepianki Kindżibaj zawsze pozostawał w kożuchach. Miał na sobie mnóstwo przyodziewków. Ale gdy tak siedział, powolutku popijając sobie *kirpicznyj czaj*, stopniowo zaczynał po nim spływać pot. Wreszcie Kindżibaj zdejmował czapę, potem następną część ubrania – aż stopniowo rozebrał się do połowy. Siedział, po ciele płynął mu pot, a on sobie pił herbatę. Czasami opowiadał nam o swojej przeszłości. Pochodził z bardzo bogatych Kazachów. Mówił, że samych owiec miał tyle, iż nie można było ich zliczyć; oprócz tego krowy. On przy nas nie bał się narzekać na władzę radziecką, która pozbawiła ich, Kazachów, wszystkiego – posiadłości, samodzielnosci narodowej i ekonomicznej.

Trzeba dodać, że w latach mojego zesłania ludność Kazachycka to był wielonarodowy tygiel. Nie licząc dużej grupy rdzennych Kazachów, naliczyłem kilkanaście narodowości. Przybywały kolejne fale zesłańców – kaukaskich Nieguszów,

Czecenów, Bałkaraców. Potem, wraz z postępowaniem Armii Czerwonej, przywieziono mieszkańców świeżo zajętej Besarabii. Oprócz tego Ukraińcy, Rosjanie, Kałmuccy, Azerbejdżanie, Koreańczycy, Chińczycy, Turkmeni, Turcy. Również Niemcy wołańscy, przywiezieni już wcześniej. Polskich rodzin było kilkanaście. Nasi znajomi w Kazachstanie to byli przeważnie zesłańcy lub potomkowie zesłańców z różnych czasów. Trafialiśmy na potomków zesłańców z 1863r., a nawet z czasów po powstaniu listopadowym. Ciekawe, że



Świadectwo Bohdana z trzeciej klasy szkoły w Kazachstanie

między wszystkimi tymi narodowościami panowała znakomita zgodność. Wiele lat potem napisałem w *Posłańcu Warmińskim* felieton wzywający różne narodowości do wspólnych modlitw. Powoływałem się w nim na moje doświadczenia kazachskie oraz na średniowieczną legendę o Damaszku. Otóż kiedy w XIII wieku zapłonęła zaraza, Damaszek to było jedyne miasto, w którym Żydzi, muzułmanie i chrześcijanie wyszli na ulice, każda grupa ze swoją świętą księgą. Razem uformowali pochód i przez cały dzień odprawiali wspólne modły do Boga, aby plagę od-

wrócił. I właśnie w Damaszku zaraza zebrała znikome żniwo, podczas gdy pozostałe miasta padły jej ofiarą niemal w stu procentach.

\*

Pierwszego września rozpoczęła się szkoła. Mama przyszyła mnie i bratu do ubrań insygnia pionierskie, czerwone gwiazdy – żebyśmy się nie wyróżniali. Ale prześladowań i tak nie udało się uniknąć. Mieliśmy wychowawczynię, taką kręłą, dosyć niebrzydką kobiecinę imieniem Maria Iwanowna, która była równocześnie szkolnym *politrukiem*. Wygłaszała pogadanki polityczne oraz prowadziła tak zwany *krasnyj ugałok* (czerwony zakątek), czyli izbę pamięci. W owej izbie była wystawa wódzów: na pierwszym miejscu portret towarzysza Stalina, dalej Lenin, Woroszyłow, Timoszenko, Budionny... Jeszcze przed wojną śpiewało się: *Jesli zawtra wajna, jesli zawtra pachod, bud' siewodnia k pachodu gatow. Z nami Stalin radnoj, Timoszenko gieroj, z nami drug bojewoj – Woroszyłow!*

Ja sobie stoję i podziwiam ogromne zdjęcie Budionnego, a szczególnie te jego długie, spływające wąsy. Spozstrzega to Maria Iwanowna, podchodzi i pyta:

— *Cziewot? Lubisz tawariszcza Budionnowo?*

— *On mnie kawo to niebud' napominajet...* — (on mi kogoś przypomina).

— *A kawo on tiebia napominajet?*

— *A ja kagdato znał takowo gienierala.*

— *Gienierala?!*

Zaczyna się awantura.

— *Kakoj gienieral!? Nie ma generałów! Myśmy waszą armię raz na zawsze rozwalili, rozbili! Ślad po niej nie pozostał!*

Ja kulę się w sobie. Maria Iwanowna zwołuje dzieciaki. Otaczają mnie, a ona oznajmia:

— *Znajtie, wot etot malczik, on u nas na pierewaspitani* — że ja niby przyjechałem do celu powtórnego wychowania. I dalej: — *Jewo otiec eto priedatiel!* (jego ojciec to zdrajca), *potomu, szto on ustupal!* (dlatego, że się poddał).

To oczywiście nie miało żadnego sensu. Ojciec nie był przecież w armii sowieckiej, nie mówiąc już o tym, że *towariszcz Stalin s tawariszczem Gitterlem* wspólnie operowali. Ale ja, mamic, wpadłem w historię, dostałem straszego szloch. Owe dzieci mnie otaczały, nie pozwalały mi wyjść z kółka. Matka odbyła potem z ową nauczycielką bardzo surową rozmowę. To podziało, bo Maria Iwanowna więcej się już wobec mnie tak nie zachowała, choć zawsze pozostała wredną żagą.



Lucyna Dąbrowska jako pszczelarz (drugi rząd, czwarta od lewej)

Kiedy przyjechaliśmy do Kazcyka, była druga połowa maja, więc panował upał. To był typowo kontynentalny klimat: od czterdziestu stopni Celsjusza w lecie do minus pięćdziesięciu w zimie. Lato było suche, gorące, a po nim nagle przychodziła zima. Natychmiast pojawiał się śnieg, góry śniegu. Wysokie drzewa w brzeziniaku w pobliżu aułu pokazywały już tylko swoje czubki. Dwupiętrowy dom, w którym przez pewien czas mieszkaliśmy, znalazł się pod śniegiem. Zjeżdżaliśmy z dachu na nartach. Potem nadeszły *purgi* czyli *mietiele* (zamieci). Jak nastawała *mietel*, to zdarzało się, że ludzie wychodzili, szli parę metrów między domami i przepadali bez wieści. Kiedy potem wiosną spływały śniegi, znajdowano ich w stepie. Po prostu gubili drogę i zamarziali. Rozciągano więc powrozy między domami, żeby ludzie nie błądzili. W takich warunkach trzeba się było ciągle rozkopywać, odkopywać spod śniegu, żeby wyleźć z lepianki. Sąsiedzi przychodzili pomagać nam się wykopać. A my ze Zbyszkim chodziliśmy do szkoły na nartach. Te narty sami musieliśmy sobie zrobić. Najpierw kradło się z lasu młode świerki, które są dość miękkie. Następnie piłowało się je na cienkie deski, które z kolei trzeba było zagotować w kotle, by wygiąć czuby. Długo moczyło się

je we wrzątku. Potem trzeba było wyłobić rowki, na tyle, na ile się dało. Do desek przymocowywało się wiązania z pasków, które z kolei zapinało się na nogach na jakieś zaciągi czy zamki. Te narty to była chłopięca robota, więc były jakie były, ale jakoś tam nam służyły. W ten sposób zimą pokonywaliśmy ponad dwa kilometry do szkoły. Inaczej nie bylibyśmy się w stanie poruszać po zaśnieżonym stepie.

Rozpoczęły się odmrozenia. Kiedyś wracając z centrali do aułu nie zdawałem sobie sprawy z tego, że moje ręce były odmrożone. Miałem rękawice ze skóry czy futra, ale one nie zapobiegły odmrożeniu drugiego stopnia. Przychodzę do domu, zdejmuję rękawice i buty, a tu ręce i nogi całe w bąblach. Do dziś dnia – a jestem już starym człowiekiem – jak tylko przychodzą pierwsze mrozy, ręce i nogi mi czerwienieją, puchną. Lekarze mówią, że tego nie da się już cofnąć.

Aż nagle, pewnego dnia czy nocy, słychać strzelanie. Armaty! Nie, to nie armaty, tylko śnieg zaczyna pękać! Pękają góry śniegu, którymi dotąd las był całkowicie przykryty. Teraz dołem płyną potężne potoki! Woda toczy się dawno wyżłobionymi jarami do *batek*, po czym błyskawicznie spływa. Mija tydzień, dwa – i jest po zimie. Zaczyna się upał. Ale strzelanie tych

śniegów, owo pękanie tych śnieżnych gór, to nie była zwykła *odwiel* (odwilż). To było zupełnie niepowtarzalne i pozostawiło bardzo piękne wspomnienie.

Mieszkańcy sowchozu otrzymywali przydziały chleba według następujących kryteriów: *raboczij* pięćset gramów chleba dziennie, a *izżywieniec* – czyli ten, kto pozostawał na utrzymaniu, a zatem dzieci, starcy – dwieście gramów chleba dziennie. Te przydziały często nie były realizowane, szczególnie po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Teoretycznie codziennie można było ustawić się w kolejce i chleb odebrać, ale praktycznie go brakowało dzień, dwa, czasem nawet dłużej. Chleb często smakował jak piołun, ponieważ podprawiano go prosem, które potrafi być gorzkie, zwłaszcza jeśli jest podpleśniałe. Wkrótce zaczął się głód. Obok nas mieszkała rodzina Oszczakiewiczów. Ich dwaj synowie, młodszy od nas, mieli nożki jak patyczki, brzuchy wzdęte. Nosili ze sobą szczoteczki do zębów i pojemniki z naftą. Szczoteczki maczali w naftie i cmokali je sobie, żeby mieć w ustach coś pożywnego. W czworakach mieszkała też rodzina żydowska, wśród nich stara kobieta, która wyglądała

po prostu jak szkielet. Ona miała zwyczaj siadać przed domem, przy czym rozkładała swoje piszczele tak, że widać było jej przyrodzenie. Nas, dzieci to oczywiście bawiło, ale w rzeczywistości był to smutny widok.

Choć wiele osób zmarło z niedożywienia, nam dzięki zaradności mamy i babci Luci głód nie doskwierał. Jako jedyna osoba zatrudniona w punkcie medycznym w Żołombeku mama była faktycznie jego kierowniczką. Otrzymywała taki sam przydział chleba jak inni *raboczije*, ale zdarzały się „przydziały nadzwyczajne”. Wiadomo, ktokolwiek zachoruje w takich ciężkich warunkach, to odda medycze ostatnie jajko, żeby go tylko ratowała. Bycie *miedsiestroj* na owym zesłaniu to było jak wygranie losu na loterii. Brakowało natomiast warzyw i ziemniaków, ponieważ w tamtej strefie lato było zbyt krótkie, zbyt suche dla roślinności. W rezultacie zęby nam w buziach chodziły, krwawiły. Wszyscy chorowaliśmy na skorbut. Z powodu awitaminozy byliśmy też pokryci bolesnymi wrzodami, głównie na szyi, karku i podudziu. To bardzo doskwierało. Nie było sposobu leczenia owych wrzodów, bo jedynym dostępnym medykamentem była maść ichtiolowa. Ocalało zdjęcie babci Luci z czasów zesłania – kobiety wówczas około czterdziestoletniej. Przed wojną była dość korpulentna, atrakcyjna, a na owym zdjęciu wygląda tak, jak wyglądali ludzie wyswobodzeni z hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Po prostu kościotrup. Tak wyglądaliśmy - i to pomimo naszej dość uprzywilejowanej sytuacji.

Jeśli chodzi o babcię Lucię, w Kazachstanie bardzo przydały się umiejętności, które nabyła jako żona dyrektora szkoły rolniczej w Torokaniach – na przykład pszczelarstwo. To, że Lucyna jest *pczielawod* szybko się rozniosło po sowchozie. Wezwano ją do dyrekcji i zaproponowano zorganizowanie pierwszej w historii sowchozu pasieki. Babcia oznajmiła, że może się tym zająć. Powiedziała, jakie ule należy sprowadzić. Wytłumaczyła też, że w owym klimacie pszczoły musiałyby mieć specjalne zabezpieczenia przed mrozem w okresie zimowym. Oczywiście zapewniłam ją, jak to w Sowietach — O, nie ma sprawy! Wszystko się zorganizuje!

Babcia pasiekę założyła. Mieszkaliśmy wtedy w Kindżibaja, więc do uli szło się na zachód, przez las. Co to była za radocha dla nas, chłopaków! Babcia dawała nam świeży, płynny miód w plastrach, oczywiście, gdy nikt nie widział. Pasieka była w oddaleniu, więc nie było tam żadnego stróża. Zdarzało się, że przynosiliśmy miód w bańce do domu Kindżibaja. To

była ogromna uciecha i wielka sprawa, również w sensie odżywczym. Na zimę pszczoły babci rzeczywiście zostały zlokalizowane w jednej z lepianek, ale bez żadnych dodatkowych zabezpieczeń. Babcia chodziła, robiła awantury w dyrekcji, ale bez skutku. Pszczoły zmarnowały się. Pasieka trwała tylko jeden sezon.

Wokół sowchozu rozpościerały się pola pszeniczne. Były to ogromne przestrzenie. W czasie zasiewów jedna klatka potrafiła mieć pięć, osiem, nawet dziewięć kilometrów kwadratowych! Zboże siano i zbierano mechanicznie, przy pomocy siewników, kombajnów. Ponieważ w sowchozie nie było spichlerzy, ciężarówki woziły ziarno do Szortandy. Sowchoz produkował, dostarczał, ale sam zostawał goły. Kiedy zaczęła się wojna, cały niemal transport pojechał na front, więc ciężarówek zabrakło. Dwie, które pozostały w sowchozie, praktycznie były wciąż na nowo składane ze złomu. Tymczasem kombajny kosiły i młóciły. Normalnie podjeżdżałyby ciężarówki skrzyniowe, aby odbierać ziarno, ale teraz ciężarówek nie było, a pszenicę trzeba było gdzieś wysypać. Zbierały się ogromne ilości ziarna, dla których nie było transportu. W związku z tym zatrudniono nas do robienia tak zwanych *toków*, czyli klepisk na stepie. Bardzo ostrymi łopatami ścinałymi *kawyl*, czyli trawę stepową, aż do samej ziemi. Przyjeżdżał wał ciągniony przez woła i ubijał klepisko, na które następnie wysypywano pszenicę. Potem nikt już jej stamtąd nie zbierał. Prędko nadchodziła zima, śnieg zasypywał ziarno. Po wiosennych roztopach odnajdowało się już tylko porośniętą chwastami zgniliznę. Ogromne hałdy pszenicy marnowały się.

Natomiast Zbyszek i ja mieliśmy zadanie: kradzież zboża. Naszym zadaniem było podejść pod hałdy pszeniczne w czasie, gdy nikt nie patrzył, i zabrać trochę ziarna. Za kilogram ukradzonej pszenicy groził rok łagru, więc kary były niewspółmiernie wysokie. My kradliśmy ją pod pozorem zbierania w stepie *kiziaku*, czyli krowiego nawozu, którym paliło się w piecach (znakomity opał). *Kiziak* wkładaliśmy pod koszulę. Obkładaliśmy się nim tak, żeby było widać, że to jest *kiziak*. To były duże, twarde kawały, więc koszule można było odpowiednio uformować. Pod ten *kiziak* wsypywaliśmy zboże – tyle, by nikt nie zauważył. Przynosiłiśmy to do domu. W każdym niemal gospodarstwie były kamienne żarna, na których ręcznie męło się pszenicę. Z niej piekło się potem placki, robiło kluchy, czy jakieś zalewajki. Zbieranie *kiziaku* oraz kradzież pszenicy to były moje zajęcia letnie. Ponadto w szkole wypędzano nas całymi klasami

do zbierania kłosów po kombajnach. Bo wiadomo, jak kombajn przejedzie, to zbierze z grubsza, a sporo kłosek zostaje na polu. Cała szkoła szła je zbierać. My tu zbieramy kłoski, a tam marnują się całe tony pszenicy!

Zbyszek bardzo wcześnie został pomocnikiem szofera ciężarówki. W sowchozie każdy szofer musiał mieć pomocnika, bo te ciężarówki wciąż rozkraczały się w stepie. Gdy szofer nie mógł sobie sam z problemem poradzić, wysyłał do centrali pomocnika, aby tę ciężarówkę ściągnęli ze stepu. Natomiast ja zostałem zatrudniany do przygotowywania klepisk pod ziarno. Jeździło się w pole wozem zaprzężonym w wołki, zwierzęta znacznie różniące się od wielkich wołów widywanych w Polsce. Kazachskie wołki są małe, niskie i bardzo zwawe. Biegają klusem, toteż z powodzeniem można na nich jeździć wierzchem.

Pewnego dnia pracowałem nad klepiskiem, a tu trzeba było posłać umyślnego do *otdielenja nomier tri*, odległego o jakieś dziewięć kilometrów, żeby kogoś o czymś powiadomić. Posłannictwo przypadło na mnie. Siadłem na wołka, a kolega zaciął zwierzę batem, dla hecy. Wołek skoczył, ja spadłem i bardzo mocno potłukłem sobie rękę. Bolało, ręka błyskawicznie zaczęła puchnąć. Pojechałem do punktu medycznego matki. Ona popatrzyła: — Nie ma rady, trzeba jechać do szpitala.

Więc znów na wóz zaprzężony w wołki; jedziemy do szpitala w centrali. Ponieważ odległość wynosiła około trzydziestu kilometrów, wyprawa zajęła sporą część dnia. Dyrektorem szpitala był Turek, podobno dobry lekarz, ale nie miał żadnego instrumentarium ani rentgena, nic dosłownie, żeby moją rękę właściwie zbadać. Uznał, że to silne obtłuczenie, że trzeba robić okłady i to przejdzie. Nie przeszło. Jak się potem okazało, ręka była trzykrotnie złamana w stawie. Nigdy potem nie mogłem już jej całkowicie zgiąć. Po wojnie lekarz artylerii konnej, znany chirurg profesor Gruca powiedział mi: — Chłopcze kochany, nic na to nie poradzimy. Za to wojsko masz z głowy.

Już w Olsztynie, zasięgnąłem jeszcze opinii innego znanego chirurga, doktora Janowicza. Zastanawiał się, czy nie podjąć operacji, ale doszedł do wniosku, że szansa powodzenia była zbyt kiepska, by kroić i łamać powtórnie.

Dziś, jak mnie ktoś pyta „Czyś ty z byka spadł?“, odpowiadam: „Tak, spadłem”.

*Źródła: nagrania i dokumenty pozostawione przez Bohdana Kurowskiego*  
Spisanie oraz redakcja tekstu:  
**dr Joanna Kurowska**